

WOKÓŁ KULTURY UPOKARZANIA, CHAMSTWA I POGARDY. ROZMOWA Z PROF. DR HAB. WOJCIECHEM J. BURSZTĄ¹

Michał Rydlewski²: *Niedawno zmarł Profesor Jerzy Kmita, ważna postać naszej humanistyki. Twórca szkoły teorii kultury, której był Pan uczniem. Na czym – Pana zdaniem – polega fenomen poznańskiej szkoły kulturoznawczej? W czym upatrywać jej oryginalności w porównaniu z innymi projektami badań kultury w drugiej połowie XX wieku?*

Wojciech J. Burszta: Śmierć Profesora Kmita na dobre zamyka ważny epizod budowania bardzo szczególnej wizji uprawiania humanistyki w Polsce. Na początku to, co później zwykło się nazywać „szkołą poznańską”, miało charakter refleksji metodologicznej nad podstawami humanistyki, dopiero później zainteresowania Kmita skierowały się na teorię kultury, co zaowocowało kolejnymi odsłonami społeczno-regulacyjnej koncepcji kultury. Były dwa węzłowe punkty, które charakteryzowały jego tok myślenia – kwestia przełomu antypozytywistycznego w humanistyce oraz oryginalna interpretacja Marksowskiej tradycji ujmowania świadomości społecznej, nadająca jej kulturowy charakter w postaci odpowiednio charakteryzowanego zespołu norm i dyrektyw. Grono osób, które skupiły się wokół Mistrza, tworzyło w latach 70. i 80. swoisty naukowy „zakon” – byliśmy przekonani, że uporządkowanie pola refleksji nad różnymi sferami intencjonalnej działalności człowieka, a więc pola kultury, pozwoli na bardziej zdyscyplinowane uprawianie humanistyki oraz jej – co było równie ważne – „odpsychologizowanie”. Kmita zbudował ogólną ramę koncepcyjną interpretacji humanistycznej i zaproponował rozumienie kultury jako „rzeczywistości myślowej”, a my – jego uczniowie – staraliśmy się wypełniać tę ramę, zajmując się

¹ Wojciech J. Burszta – prof. dr hab., antropolog kultury, kulturoznawca, eseista, tłumacz; do 2003 roku związany był z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza, obecnie kierownik Katedry Antropologii Kultury w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej oraz kierownik Zakładu Badań Narodowościowych w Instytucie Slawistyki PAN; przewodniczący Rady Naukowej „Przeglądu Kulturoznawczego” oraz przewodniczący Komitetu Nauk o Kulturze PAN; autor kilkunastu książek w tym podręcznika *Antropologia kultury. Tematy, teorie, interpretacje*, redaktor lub współredaktor wielu innych, na swoim koncie ma kilkaset artykułów. Ostatnia Jego książka to *Kotwice pewności. Wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle*. Obecnie pracuje nad osobistą książką pod tytułem *Preteksty*, która ukaże się w Wydawnictwie Naukowym Katedra w Gdańsku; stypendysta Fulbrighta i Fundacji Kościuszkowskiej; mieszka w Milanówku.

² Michał Rydlewski – magister etnologii (absolwent toruńskiej i warszawskiej etnologii), w czerwcu 2013 r. obronił pracę doktorską w Instytucie Filozofii UMK w Toruniu pod tytułem „Żeby wiedzieć, trzeba wiedzieć. Kulturowy wymiar percepcji wzrokowej” (promotor Andrzej Szahaj). Publikował w *Kontekstach*, *Etnografii Polskiej*, *Przeglądzie Filozoficznym-Nowa Seria*, *Ruchu Filozoficznym*, *Annales UMCS*, *Przeglądzie Kulturoznawczym* oraz kilku tomach pokonferencyjnych. Interesuje się teorią, historią i filozofią kultury.

poszczególnymi dziedzinami kultury symbolicznej (albo – jak to ujmował Kmita w ostatniej swojej książce – kultury operowania symbolami). Zajmowaliśmy się zatem polem sztuki, religii i magii, języka, obyczaju itd. Uważam, że było to niezwykle inspirujące, a powiedzenie, że dorobek z tamtych lat tworzy coś na kształt odrębnej, oryginalnej szkoły myślenia, nie jest żadną przesadą. Myślę, że ten niewątpliwy fenomen czeka na swego biografę.

Na seminaria Profesora, odbywające się w małej, zadymionej salce na UAM, zjeżdżały się tłumy zainteresowanych podobnym widzeniem świata z całego kraju, a „grupa poznańska” występowała zawsze jako zwarty zespół, identyfikujący się linią myślenia według kryteriów podpowiadanych przez Mistrza. Pamiętam, jak powielaliśmy maszynopis jednej z książek Kmita, który krążył po Poznaniu i Polsce jako naukowy odpowiednik samizdatu i nabierał wręcz mitycznego znaczenia jeszcze przed ukazaniem się tekstu oficjalnie. To było nieustające poszukiwanie inspiracji.

M. R.: *Jak wyglądała szkoła Kmita, by tak powiedzieć, od zakrystii? Czy były, i jak wyglądały, nieformalne spotkania? Jak była atmosfera tych studiów? Z kim Pan się przyjaźnił?*

W. J. B.: W najbardziej dynamicznym okresie środowisko skupione wokół Kmita było naprawdę pokaźne, ale zróżnicowane. Byli więc ci, którzy tworzyli najbardziej wierne grono wyznawców, i ci mieli kłopot z rozwijaniem własnych pomysłów, jako że brak im było odwagi pójścia własną drogą i skrupulatnie trzymali się wyjściowych koncepcji i, co nie mniej ważne, specyficznego języka Mistrza (niełatwego...). Druga grupa to ludzie, którzy przyszli z różnych stron (z historii, psychologii, etnologii, filologii romańskiej, filozofii, archeologii) – tym było za ciasno w gorsetach rodzimych nauk i chcieli wyrwać się z bardzo przedmiotowego rozumienia ich zakresu. Wreszcie grupa trzecia – pierwsi absolwenci poznańskiego kulturoznawstwa, wśród których trzeba wymienić przede wszystkim Andrzeja Szahaja. Byli jeszcze, wspomniani wcześniej, przybysze z Polski, którzy na dłużej lub krócej zakotwiczyli w środowisku (najczęściej znikając po napisaniu doktoratu). Wszyscy świetnie się znaliśmy i dobieraliśmy głównie – poza sympatiami – według klucza zainteresowań. W ten sposób oczywiście „trzymałem się” przede wszystkim z etnologami – Michałem Buchowskim, Jasiem Gradem, Anną Pałubicką czy (nieżyjącym już niestety) Zbyszkciem Gierszewskim, ale gorące dysputy prowadziłem także z innymi – Jackiem Sójką, Anną Grzegorzczak, Anną Zeidler-Janiszewską, Sławkiem Magalą, Pawłem Ozdowskim, Grzegorzem Dziamskim, Ewą Rewers, Krystyną Zamiarą, Ewą Kobylińską. Długo by wymieniać... To było naprawdę żywe środowisko, bardzo inspirujące, każdy niemal był z „innej parafii”, z osobnymi pomysłami. Często seminaria u Kmita były tylko pretekstem do dalszego debatowania w knajpach w mieście. To było trochę tak, jak u Kurta Vonneguta – Kmita był naszym *wampeterem*, wokół którego krążyliśmy jak gwiazdna mgławica... Piękne, inspirujące lata, które ukształtowały mnie na dobre, mimo iż tak wiele czasu upłynęło. Kmita nauczył mnie przede wszystkim jednego – dyscypliny myślenia. To mu zawdzięczam i z tego skarbu staram się korzystać.

M. R.: *Kmita wychował liczne, wymienione przez Pana, grono uczniów, które odegrało ogromną rolę w czynieniu nauk o kulturze, naukami podstawowymi. Ich obecność daje się zauważyć w polskiej filozofii, socjologii, historii, etnologii. Interesuje mnie ta ostatnia. Co takiego było w ideach Kmity, co pozwalało Panu ciekawie interpretować etnograficzną klasykę i jej metodologię oraz uprawiać namysł antropologiczny nad współczesną kulturą? Jak Pan „konsumował” dziedzictwo Kmity?*

W. J. B.: To, że Kmita zajmował się teorią kultury w naturalny sposób wzbudziło moją ciekawość jako – wówczas – studenta etnologii. Razem z Michałem Buchowskim podjęliśmy więc drugi kierunek studiów – kulturoznawstwo – i staliśmy z czasem członkami „zakonu Kmity”. Wystarczy powiedzieć, że Kmita został promotorem mojej pracy magisterskiej na etnologii, a później także rozprawy doktorskiej (konsultowałem też z nim moją habilitację, broniąną zresztą na Wydziale Nauk Społecznych z zakresu socjologii, a nie na moim rodzimym Wydziale Historycznym, gdzie „nie było atmosfery” na prace o podobnym, teoretycznym profilu...). Etnologia była wówczas bardzo słabą, nieco starodawną dyscypliną, brakowało w niej świadomości metodologicznej i inspiracji teoretycznych, które pozwoliłyby wyjść poza, jak to z Michałem nazywaliśmy – etap zbieracko-łowiecki jej uprawiania. Niedawno ukazała się jego książka, *Etnologia polska: historie i powinowactwa*³, w której opisuje on tamte lata i tradycyjny paradygmat etnologii. To wszystko, czego nie było w etnologii lat siedemdziesiątych, znaleźliśmy u Kmity – poczynając od świetnych zajęć z logiki i semantyki, poprzez refleksję epistemologiczną i teoretyczno-metodologiczną, historię filozofii, a wreszcie oryginalne rozumienie kultury jako bytu ideacyjnego. W efekcie zająłem się teoretycznymi ujęciami związków języka i kultury w refleksji antropologicznej, co doprowadziło mnie do poznania etnonauki spod znaku Warda Goodenougha, która wydała mi się w niektórych aspektach bardzo bliska podejściu do kultury Kmity. Definicja kultury Goodenougha, jaką omawiałem w swojej książce *Język a kultura w myśli etnologicznej*⁴, bardzo zainspirowała Kmitę, tak bardzo, że uczynił ją wręcz punktem wyjścia dla własnego rozumienia kultury jako rzeczywistości myślowej.

Wieloletnie uczestnictwo w pracach szkoły poznańskiej pozwoliło nam także z Michałem Buchowskim na podjęcie próby zinterpretowania różnych tradycji myślenia antropologicznego w perspektywie interpretacyjnej Kmity, czego owocem była książka *O założeniach interpretacji antropologicznej*⁵. Zaproponowaliśmy w niej także typologię kultur magicznych i rytuału, krytykę różnych kierunków teoretycznych w antropologii i pewien model szacowania wiarygodności ustaleń dotyczących obcokulturowego kontekstu symbolicznego.

³ Michał Buchowski, *Etnologia polska: historie i powinowactwa*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2012.

⁴ Wojciech J. Burszta, *Język a kultura w myśli etnologicznej*, Prace Etnologiczne-Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1986.

⁵ Michał Buchowski, Wojciech J. Burszta, *O założeniach interpretacji antropologicznej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1992.

M. R.: *Tematem naszej rozmowy chciałbym uczynić „kulturę upokarzania”. To termin, który pojawił się w tytule i tekście artykułu Andrzeja Szahaja⁶. Czy metaforyka upokarzania w opisie kultury i diagnozy polskiego społeczeństwa wydaje się Panu interesująca? Jeśli tak, to dlaczego?*

W. J. B.: Z wielką uwagą przeczytałem tekst Andrzeja, a także Pańską *głosę* do niego⁷. Metafora upokarzania, która wyznacza logikę (albo jest zwierciadłem) nierówności w społeczeństwach neoliberalnych, uważam za nośną i wartą dalszego „rozpisywania” na różne aspekty naszej rzeczywistości. Jako że ciągle jeszcze żyję swoją ostatnią książką, *Kotwice pewności. Wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle*⁸, siłą rzeczy odnoszę termin „upokarzanie” właśnie do tego obszaru, który mnie w książce interesuje. Chodzi o wojny kultur rozumiane jako spór o moralne podstawy funkcjonowania społeczeństwa, o to, co jest rzekomo dla ludzi Dobrem, a co Złem. W tym szczególnym rejestrze moralności, w jakim debatuje się na temat pożądanego kształtu świata i koncepcji jednostki, upokarzanie staje się – moim zdaniem – tym rozległym polem różnorodnych strategii i taktyk niszczenia argumentacyjnego potencjału demokracji. Zamiast dyskusji – upokarzanie i stygmatyzowanie. Tak to widzę.

M. R.: *Pójdźmy wyznaczonym przez Pana torem myślenia o „kulturze upokarzania”. Od kiedy – Pana zdaniem – daje się obserwować w naszym społeczeństwie wzajemne siebie upokarzanie rozumiane jako „strategia i taktyka niszczenia argumentacyjnego potencjału demokracji”? Czy zgodziłby się Pan z tezą, że zauważony przez Pana problem został z całą mocą ujawniony po katastrofie smoleńskiej w 2010 roku?*

W. J. B.: Data 10 kwietnia 2010 z pewnością jest ważna, jako że to, co do tej pory tliło się ledwie, będąc przede wszystkim wyzyskiwane na poziomie rozgrywek politycznych, zyskało wymiar generalny. Odwołując się do tytułu książki Bronisława Łagowskiego⁹ powiem, że to wówczas „symbole pożarły rzeczywistość” – zaczął się festiwal narodowo-religijnej wiwisekcji historii, terażniejszości i przyszłości jednocześnie. Mitologia narodowa, najpierw skupiona wokół figury Krzyża, zaczęła tworzyć ciąg metonimicznych skojarzeń z tzw. prawdziwą polskością, z której *ex definitione* wykluczono tych, którzy mieli wątpliwości co do przypisania się do podobnej wizji. Tę rzekomo „prawdziwą polskość” manifestowano, niejako wykrzykiwano, a tam, gdzie dominuje ekspresywny plan kultury i walka o symbole nieuchronnie pojawia się także pogarda, nienawiść i chęć upokarzania przeciwników. Ostatnim tego przejawem jest kariera słowa „lewactwo”; dzisiaj wszystko, co nie wpisuje się w konserwatywną i pravicową narrację ideologiczną, kwalifikowane jest jako przejaw owego lewactwa. W ten sposób lewacy

⁶ Andrzej Szahaj, *Kultura upokarzania*, „Odra”, nr 2, 2012, s. 40–44.

⁷ Michał Rydlewski, *Wszeloboczne upokarzanie (na marginesie artykułu Andrzeja Szahaja pod tytułem „Kultura upokarzania”)*. Artykuł znajduje się w niniejszym tomie.

⁸ Wojciech J. Burszta, *Kotwice pewności: wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013.

⁹ Bronisław Łagowski, *Symbole pożarły rzeczywistość*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2011.

to przedstawiciele szkoły frankfurckiej, lewacki jest Teatr Ósmego Dnia, lewackie są feministki etc. Dyskurs społeczny został zawłaszczony inwektywami, które są rodzajem poręcznych form pojęciowych, których zadaniem jest wyłącznie „naznaczenie” i „kwalifikowanie”. Ale dla porządku – to samo robi druga strona sporu, wszyscyśmy zarazili się wojenną retoryką. Niech Pan spróbuje zabrać dzisiaj głos i mówić o tolerancji czy wolności – o tych pojęciach zapomnieliśmy dzisiaj ze szczeniem.

M. R.: *Wydaje mi się, że ten swojego rodzaju spektakl obustronnej pogardy i upokarzania szczególnie mocno dotknął przedstawicieli państwa polskiego i to na różnych poziomach. Najwyżsi z nich, głównie politycy, zostali potraktowani jako „obcy”, „nie-Polacy”, „zdrajcy”, funkcjonariusze totalitarnego reżimu, których można bezkarnie lżyć, albowiem nie są przedstawicielami jakoby prawdziwego państwa polskiego. Z drugiej strony można bezkarnie obrażać polskich żołnierzy na misjach zagranicznych. Mam tu na myśli przypadek Jacka Żebryka, żołnierza, który złożył doniesienie do prokuratury po przeczytaniu wpisów internetowych po śmierci polskiego żołnierza. Mowa tam była o tym, że są oni „najemnikami”, „mordercami” etc. To sytuacja niewyobrażalna na przykład w społeczeństwie amerykańskim. Jak ma się nasze lokalne traktowanie państwa polskiego (czy wyobrażenie o nim) oraz jego przedstawicieli do kultury upokarzania? Czy państwo powinno w jakiś sposób reagować na jego przejawy względem swoich przedstawicieli?*

W. J. B.: Państwa są dzisiaj słabe w tym sensie, że bardzo trudno im uzasadnić własną rację stanu w oderwaniu od szerszych, niekiedy globalnych interesów zbiorowych, reprezentowanych głównie przez „zbrojne ramię neoliberalizmu”. Polska wpisała się w tę logikę i wiernie wypełnia zobowiązania, z wszystkimi tego konsekwencjami. Mnie wcale nie dziwi, że ludzie strasznie się podzielili w kwestiach, co jest dobre, a co złe dla owej polskiej racji stanu. Nie ma elementarnej wiedzy o kontekście, w jakim uczestniczymy w budowaniu ładu neoliberalnego świata, którego logikę nadal wyznaczają Stany Zjednoczone. Dla jednych jesteśmy „wiernym sojusznikiem”, ale dla innych „pachołkami obcych interesów”, bez własnego zdania i narodowej dumy. Nieprawdą jest jednak, że w USA nie pojawiają się podobne opinie na temat udziału żołnierzy amerykańskich w wojnach w Iraku i Afganistanie. Wystarczy wejść na fora antyglobalistów i anarchistów spod znaku Direct Action, aby przekonać się, jak gorąca jest tam dyskusja na ten temat. David Graeber, radykalny antropolog amerykański, wyrzucony z Yale za poglądy anarchistyczne, dzisiaj pracujący w Londynie, wydał właśnie ważną książkę pt. *The Democracy Project: A History, a Crisis, a Movement*¹⁰. Pokazuje w niej dlaczego toczy się tak ostry spór o wartości demokratyczne, który polaryzuje opinie na niemal każdy temat, skutkując czymś, co można by nazwać – to już mój pomysł – „groźdzeniem” racji i niemożliwością porozumienia się. Żyjemy dzisiaj, w sferze dyskursu publicznego, jak w osiedlach zamkniętych, do których nie dopuszczamy intruzów, czyli tych, którzy wyrażają odmienne racje. Cóż

¹⁰ David Graeber, *The Democracy project: A history, a crisis, a movement*, Allen Lane, London 2013.

tutaj może zrobić państwo polskie? Nie może przecież pójść w kierunku nacjonalizacji świadomości, bo to byłoby korozyjne, chociaż marzy się wielu skrajnym politykom pravicowym, nie może być nadmiernie opresyjne... Państwo może tylko edukować, ale przecież Polacy nie czytają... Dopóki rozkwitają u nas wojny kulturowe na wszystkich newralgicznych polach tożsamościowych, państwo jest bezradne, bo nie jest w stanie zaproponować konsensusu, na który zgodzi się większość. Ci, którzy stoją do niego w opozycji, robią wszystko, by państwo i jego agendy upokorzyć, przywołując zresztą wszystkie mityczne wyobrażenia, aby to uzasadnić. Afera, jaka wybuchła wokół gazociągu jamalskiego, obchody trzeciej rocznicy katastrofy pod Smoleńskiem – to kolejne kroki ku „grodzieniu” Polaków i wypieraniu dumy z państwa polskiego. Marnie to wszystko widzę, bo i kaliber intelektualny rządu marny, przy okazji.

M. R.: *Kultura upokarzania ma się dobrze nie tylko w polityce, ale zadomowiła się także w innych miejscach. Andrzej Szahaj mówi w tym kontekście o szkole, z kolei profesor Iwona Kabzińska zwróciła moją uwagę między innymi na szpital. Kilka tygodni temu „Gazeta Wyborcza” opublikowała list czytelnika z warszawskiego Szpitala Bielańskiego, w którym opisuje on „upokarzanie pacjentów, groźby, zniecierpliwienie i obojętność”¹¹ personelu w stosunku do chorych i starych ludzi. Chciałbym jednak Pana zapytać o inną przestrzeń – świat akademicki, który chyba do tej pory stawiał opór „kulturze upokarzania” i nie był z nią kojarzony. Przykładem zmiany tej sytuacji może być podział poznańskiego środowiska naukowego w sprawie wypowiedzi profesor Krystyny Pawłowicz. Jest Pan sygnatariuszem listu do Akademickiego Klubu Obywatelskiego w sprawie naruszenia przez nią zasad etosu pracownika nauki. W liście można przeczytać, że podpisujący go chcą z całą mocą podkreślić, iż „wypowiadane z poczuciem wyższości, pełne pogardy, uwłaczające osobom homoseksualnym i transpłciowym” wypowiedzi posłanki Krystyny Pawłowicz uważane są przez podpisujących za „oburzające i nieliczące z powagą posta i naukowca”. Czy „kultura upokarzania” przeniosła się już także na uniwersytet? Czy świat akademicki staje się mniej wrażliwy na wzajemne siebie poniżanie?*

W. J. B.: Nie miejmy złudzeń, że „świat Akademii”, jak się niekiedy dumnie powiada, to jakaś wieża z kości słoniowej, gdzie grono wybrańców zajmuje się wyłącznie wiedzą i tworzeniem standardów prawdziwego dyskursu argumentacyjnego, który – na zasadzie osmozy kulturowej – przenika do przestrzeni publicznej. Dzisiejszy świat akademicki to wielce podzielone, zatomizowane i zajęte krzątaniną wokół własnych karier środowisko oportunistów. Brakuje autorytetów i mistrzów intelektualnych, co skutkuje między innymi i tym, że nawet najbardziej przeciętny naukowiec, na co dzień zajęty liczeniem punktów parametrycznych i zajmujący się jakimś wycinkiem rzeczywistości, nie czuje związku z tym, co możemy nazwać etosem środowiska. Różne koterie ludzi, skądinąd niezadowolonych z neoliberalnej polityki w nauce, roszczą sobie prawo do tego, aby wypowiadać się – jako osoby symulujące jedynie autorytet

¹¹ http://m.wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,117915,13506553,Starsza_kobieta_upada__Personel_robi_jej_awanture_.html (06.06.2013).

wiedzy – w kwestiach etyki, moralności i ładu społecznego. Symptomatyczne, że do roli moralnych autorytetów pretendują przede wszystkim przedstawiciele nauk humanistycznych badających przeszłość – historycy i archeolodzy, w dużej części historycy sztuki (tak jest w przypadku AKO w Poznaniu), nie ma zaś wśród nich np. antropologów, filozofów i kulturoznawców! To wiele mówi, jako że każdy zajmujący się naszym „tu i teraz” mniej jest skłonny do pouczania i dawania recept jak należy kształtować społeczny ład, widzi bowiem jak wielkie zmiany bezustannie zachodzą w kulturze. Jeśli rzeczywistość stawia opór („pospolitość skrzeczy”), trzeba wskazać tych, którzy za ten stan są odpowiedzialni – albo poprzez odwołanie do jakiegoś mitycznego ładu wcześniejszego, albo naznaczenie tych środowisk i ludzi, którzy nie chcą się ukorzyć przed autorytetem tradycji. Rodzi się cichy konflikt środowiskowy – jedni podpisują takie listy, inni protestują wobec ich treści, to znowu wywołuje kontrreakcję itd. I co najistotniejsze – w ruch idą inwektywy i sformułowania mające poniżyć oponentów. Najświeższym przykładem jest wywiad z prof. Krzysztofem Jasiewiczem w piśmie „Focus Historia” i jego niespodziewane zapędy antysemityczne, czynione rzekomo w obronie prawdy naukowej. Widział Pan jak podzielili się ludzie w opiniach o tych kuriozalnych wynurzeniach? A jak poniża się Prezesa PAN, Prof. Kleibera, który delikatnie zabrał głos jako przełożony w końcu? Aż strach się bać!

Proszę zauważyć, że sprawa jest rozwojowa. Widać, że także studenci są już uczestnikami tej groźnej zabawy. Przy okazji rzekomego sporu światopoglądowego załatwia się wiele innych spraw wynikających z zawiści, zazdrości i zwykłej rywalizacji. W efekcie jest to wszystko wielce korozyjne dla świata akademickiego, który znalazł się w klatce neoliberalnej polityki (wobec której słaby stawia opór!), a jest tak podzielony wewnętrznie, że tym łatwiej nim manipulować. Poniżamy się także i w tym sensie...

M. R.: *Czy genezy „kultury upokarzania” lub elementów kontekstu społecznego ją wspierają, można poszukiwać historycznie dalej niż powstałe po 1989 roku nierówności społeczne? Jeśli tak, to gdzie?*

W. J. B.: Kłania się PRL. Niedawno zajrzałem do dokumentów, jakie zgromadził mój Ojciec w roku 1968, kiedy był prorektorem UAM. W Poznaniu także doszło do istotnych wydarzeń w marcu, studenci ostro demonstrowali i protestowali, a ówczesna prasa nie robiła nic innego jak tylko upokarzała i naznaczała „elementy warcholskie”. Można zrobić eksperyment i, podmieniając jedynie niektóre słowa, swobodnie użyć ówczesnej retoryki do opisów demonstracji z ostatnich trzech lat w Polsce. To w PRL-u mamy cały zasób nieśmiertelnych klisz językowych, insynuacje dotyczące pochodzenia, orientacji seksualnej i przewin przodków konkretnych osób. Wszystkim polecam kwerendę tamtych źródeł – to wielce pouczające, jak niewiele się zmienia.

Także początki Polski demokratycznej po roku 1989 mają już od zarania taki rys „agonalny”, w sensie Chantal Mouffe. Dyskurs prawicowo-populistyczny, z dodatkiem religijnej perswazji, zdominował przecież dyskusję wokół ustawy o dopuszczalności przerywania ciąży. Całkowicie zawłaszczono ten obszar, nadając mu sakralne znaczenie, w którym nie ma miejsca na „zabieg”, „skrobankę”, „spędzanie płodu”, ale wszystko

jest „holocaustem nienarodzonych” „zabijaniem dziecka poczętego”, itd. Jak napisała jedna z badaczek tej problematyki, Elżbieta Matynia: „Kluczowi żołnierze w tej bitwie ustawodawczej pojawili się w sejmie uzbrojeni w akcesoria polskiego idiomu: przebrani za rycerzy i damy, za chłopów kryjących się za obrazem Matki Boskiej, z politykami płci męskiej przebranymi za te patriotyczne matki Polki, i wreszcie z biskupami – niekoniecznie w roli pasterzy”¹². Siłą rzeczy wszyscy, którzy mieli wątpliwości, zostali zakwalifikowani jako mordercy i reprezentanci kultury śmierci. To był pierwszy w wolnej Polsce front wojny kulturowej. Potem pojawiła się debata wokół nowej konstytucji, o czym pisałem w książce *Asteriks w Disneylandzie*¹³, a następnie kolejne sfery życia społecznego poddano wiwisekcji moralnej na zasadzie *tertium non datur*.

M. R.: *Moim zdaniem, gdyby spojrzeć jeszcze bardziej wstecz na naszą historię, to można by chyba powiedzieć, że predylekcja do „kultury upokarzania” ma swoje źródło w słabym upowszechnieniu się modernistycznych procesów cywilizacyjnych. Wydaje się, że w odróżnieniu od nas procesy te przeszły społeczeństwa zachodnie, w których optyce wzór człowieka kulturalnego, to wzór człowieka łagodnego (dobrze uchwycili to szwedzcy antropolodzy w książce pod tytułem „Narodziny człowieka kulturalnego. Kształtowanie się klasy średniej w Szwecji XIX i XX wieku”¹⁴, opisując proces kolonizacji warstwy chłopskiej). Przykładem tego wzoru może być wymieniona przez Andrzeja Szahaja „[...] kultura angielskich dżentelmenów, którzy prędzej zamilkną niż powiedzą o kimś coś złego. W jej perspektywie, każde upokorzenie wynikające z otwarcie negatywnej oceny jest znakiem braku delikatności i złego wychowania”. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że nie tylko do końca nie przeszliśmy jako społeczeństwo procesów cywilizacyjnych, ale wartości tych procesów dla „gładkiego”, codziennego funkcjonowania w społeczeństwie nie rozumiemy. Podam przykład. Jako osoba posiadająca doświadczenie pobytu na Wyspach Brytyjskich, miałem okazję obserwować jak postrzegana jest przez Polaków kultura angielska. Określeniem, jakie często się pojawiało na opisanie zachowań Wyspiarzy było „cichociemny”, oznaczające kogoś, kto robi coś innego niż mówi, nie wygłasza swojej szczerej opinii, otwarcie nie krytykuje, nie ocenia. Było to traktowane w kategoriach przyrodzonej jakoby dwulicowości i fałszywości Brytyjczyków, podobnie zresztą jak small talk. Czy zgodziłby się Pan z moimi intuicjami?*

W. J. B.: Jak najbardziej, jak najbardziej. Przed wielu laty miałem podobne doświadczenia w Szwecji, o której traktuje wspomniana przez Pana, jakże niedoceniana, książka Frykmana i Löfgrena. Pracowałem z Polakami na plantacjach truskawek koło Uppsali i mogłem obserwować, jak rodacy zderzają się ze światem, którego kompletnie

¹² Elżbieta Matynia, *Demokracja performatywna*, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2008, s. 164.

¹³ Wojciech J. Burszta, *Asteriks w Disneylandzie: zapiski antropologiczne*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2001.

¹⁴ Jonas Frykman, Orvar Löfgren, *Narodziny człowieka kulturalnego. Kształtowanie się klasy średniej w Szwecji XIX i XX wieku*, przeł. G. Sokół, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Seria: Biblioteka Klasyków Antropologii, Kęty 2007.

nie rozumieli, i jak sobie – z poczuciem absolutnej wyższości – radzili z kontekstem obcym dla nas, ze światem „głupich Svenssonów”. Pośrednio te niewątpliwe różnice w procesie cywilizacyjnym, by użyć sformułowania Norberta Eliasa, można sobie unaocznic czytając uroczą książkę innej Pani antropolog, Brytyjki Kate Fox, *Przejrzeć Anglików. Ukryte zasady angielskiego zachowania*¹⁵. Na podstawie typowej antropologicznej obserwacji uczestniczącej, a niekiedy prowokacji (polegającej np. na potrącaniu osób w różnych sytuacjach ulicznych), Fox pokazuje m.in. kody grzeczności, jakie obowiązują w tym kraju, reguły rozmowy, oceny etc. Strasznie to egzotyczne z polskiej perspektywy i niełatwe do odkodowania! Moja doktorantka, Agata Bisko, składa właśnie do druku podobnie pomyślaną książkę, ale dotyczącą Polaków, która nosi tytuł *Polska specjalność. Kultura codzienności*. Frapujące są różnice, które ujawniają się przy porównaniu obu społeczeństw i ich warstw społecznych. No właśnie, powiedziałbym wręcz, że nasze peryferyjne usytuowanie wobec procesów industrializacji i tworzenia się nowoczesnych społeczeństw skutkuje także dość szczególnym rodzajem tożsamości narodowej, stanowiącej żywe pole dla sentymentów etnonacjonalistycznych. Nie bez powodu tak słabo ma się u nas tzw. nacjonalizm obywatelski, a króluje – jak dzisiaj – nacjonalizm kulturowy, zawsze odwołujący się w specyficzny sposób do poczucia odrębności i wyższości wobec innych narodów. Czy nie jest tak, że nacjonalizm obywatelski raczej piętnuje zapędy do upokarzania innych, a kulturowy – raczej zachęca, zwłaszcza w okresach „wzmocnienia” symbolicznego zagrożenia?

Etnocentryzm i myślenie stereotypowe mają się w Polsce świetnie i są także eksportowane za granicę wraz z tysiącami wyjeżdżających, którzy przykładają dobrze sobie znane sposoby postrzegania do obcości mieszkańców krajów, które ich goszczą. Rozdarcie między kompleksem polskim i polską dumą skutkuje w istocie obronnymi postawami i separowaniem się od życia w konwencjach kulturowych traktowanych jako dziwaczne i „cichociemne”. Pod tym względem jednak ruchliwość Polaków wydaje mi się w dalszej perspektywie zbawienna, bo uważam, że przyniesie zmianę postaw już w następnym pokoleniu. Nie zapominajmy jednak, że większość rodaków nadal nigdzie nie podróżuje, siedzi w miejscu i czuje się zmarginalizowana, co oznacza, że tym bardziej chętnie odwołuje do myślenia mającego swoje korzenie w chłopskiej mentalności. Wiem, że mówię rzeczy kontrowersyjne, ale jestem skłonny bronić takiego rozumowania.

M. R.: *Na zakończenie naszej rozmowy chciałbym się do czegoś przyznać, w nadziei, że Pan się na mnie nie pogniewa. Moja prośba o refleksje nad „kulturą upokarzania” była poddyktowana także tym, że ona Pana po prostu bezpośrednio dotknęła. Mam na myśli obraźliwe wpisy internautów po udzielonym przez Pana „Gazecie Wyborczej” wywiadzie dotyczącym obecności w Sejmie Anny Grodzkiej¹⁶. Zastanawiają mnie tu dwie rzeczy.*

¹⁵ Kate Fox, *Przejrzeć Anglików. Ukryte zasady angielskiego zachowania*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2007 (kolejne wznowienia: 2008, 2011).

¹⁶ http://m.wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,117915,13367052,Grodzka_w_Sejmie___Cenne_Rewolucja___Potomkowie_kultury.html (04.05.2013).

Pierwsza z nich to fakt, że większość tych komentarzy – jak mi się wydaje – była napisana przez ludzi, którzy ten wywiad przeczytali (a więc poświęcili na to czas) i w większości zrozumieli to, co Pan mówił. Zakładam więc, że byli to raczej młodzi, wykształceni ludzie, a nie typowi tzw. „hejterzy” czy „trolle”. Jakiś czas temu natknąłem się na wypowiedź prof. Adama Chmielewskiego¹⁷, który pisze, że w sieci zachowują się agresywnie i chamsko także młodzi ludzie z „pokolenia zbędnych”, czyli dobrze wykształconych a skazanych na społeczny niebyt. Dla wielu internautów upokarzanie kogoś na forach internetowych to sposób na odreagowanie swojej frustrującej sytuacji (hobby jak bieganie i gra w piłkę) oraz sposób na przebicie się, choć anonimowy, to wiążący się byciem zauważonym, o którym szerzej pisał Andrzej Szahaj. Czy zgodziłby się Pan z tą opinią?

Druga sprawa dotyczy nas-intelektualistów (mówiliśmy trochę o tym wcześniej) oraz tego, co Pana spotkało. Czy intelektualista, który chce zabrać głos w przestrzeni publicznej, musi mieć „grubą skórę”? A co jeśli jej nie ma? Ma „siedzieć cicho”? Czego nauczyło Pana to doświadczenie? Bo mnie – przyznam szczerze – odechciało się w ogóle tego typu praktyk po tym jak wraz z Michałem Wróblewskim zabraliśmy głos w dyskusji o toruńskich studentach na łamach „Gazety Wyborczej”, na której forach zostaliśmy przez wielu studentów naszego Uniwersytetu potraktowani jako pół-inteligenci nie mający o niczym pojęcia. Jeśli my-intelektualiści, od studentów po profesorów, także gramy w tę grę wzajemnej pogardy, to czy widzi Pan w ogóle jakąkolwiek możliwość odrotu od kultury upokarzania? Co musiałoby się zmienić?

W. J. B.: Tak, to ważne kwestie, którymi także profesjonalnie się zajmuję, jako że bliska jest mi społeczno-edukacyjna rola antropologii, a szerzej – humanistyki. Czytam właśnie książkę angielskiego antropologa Jeremy'ego MacClancy, *Anthropology in the Public Arena*¹⁸, w której przygląda się on historii i dniu dzisiejszemu antropologii jako uczestniczące debaty publicznej. Widać, w jak komfortowej sytuacji byli onegdaj koryfeusze tej wiedzy, traktowani także jako postacie publiczne o statusie autorytetu – Margaret Mead, Geoffrey Gorer czy Edmund Leach. To były czasy sprzed Internetu i mediów elektronicznych, kiedy wyrażane opinie były starannie czytane, argumenty rozważane i traktowane poważnie, a antropolodzy naprawdę traktowani jako ci, którzy uczą tolerancji i zachęcają do głębszego rozumienia kwestii, które zwykliśmy bardzo łatwo kwalifikować jako rzekomo oczywiste. Dzisiaj nikt już nie może pretendować do takiej roli, rządzą media i ich prosty przekaz, a nie zasada, że „dzięki antropologii Twoje życie ulegnie skomplikowaniu”. Antropolog wypowiadający się publicznie ma niemal taki sam status jak celebryta, polityk czy trawelebryta (będący np. znanym mistrzem kuchni) – jego wypowiedzi traktuje się jako „oznaki naturalne”, a nie skomplikowane komunikaty o złożonej treści. Tak jak „dym jest oznaką ognia”, tak wypowiedź antropologa (na przykład moja), od razu wywołuje skojarzenie: „antropolog – aha to ten,

¹⁷ Jacek Antczak, *Chamy, panie, chamy*, „Polska Gazeta Wrocławska”, 25 stycznia, 2013, s. 24. Dziennikarz przywołuje w artykule fragmenty swojego wywiadu z prof. Chmielewskim.

¹⁸ Jeremy MacClancy, *Anthropology in the public arena*, Wiley-Blackwell, Oxford 2013.

co będzie nam opowiadał, że płęć kulturowa to co innego niż płęć biologiczna, będzie się starał zrozumieć pedałów i lesby, będzie nas obrażał jako nacjonalistów etc.” Stąd stają się, niejako automatycznie, „profesorkiem”, „żałosnym mądrą”, „kabareciarzem”. Takie są dzisiaj koszty, jeśli się zdecyduje na publiczną wypowiedź, która zresztą już na zawsze pozostanie, wraz z komentarzami, w tym nieogarnionym archiwum informacyjnym, jakim jest Sieć. Oczywiście, to przykre, że upokarzanie zastępuje próby zrozumienia tego, co ktoś powiedział, ale trudno – można albo milczeć, albo wystawiać się na próbę ognia. Wierzę, że choć mały margines ludzi próbuje odczytać i zinterpretować istotną część tego, co mówię i piszę, choć wiem, że prezentowane przeze mnie stanowisko, które za Geertzem nazywam zasadą „anty-anty” (jestem np. relatywistą kulturowym, ale w innym sensie, niż głoszą to relatywiści i antyrelatywiści tocząc swój spór; podobnie w sprawie aborcji, podobnie w sprawie związków partnerskich, podobnie w sprawie etnonacjonalizmu), nie jest łatwe do akceptacji. Ciągle wierzę, że w skali społecznej ludzie potrafią ze zrozumieniem czytać, bo przecież – wbrew diagnozom sprzed lat – Internet to środowisko pisma, zatopionego w hiperrzeczywistości. Jeśli zatem uważam, że mogę się kompetentnie wypowiedzieć w jakiejś palącej kwestii, zaproponować jakiś szerszy kontekst porównawczy, ostudzić emocje argumentami, nie waham się zabierać głos. Upokarzanie zatem wpisałem w swój los i tym bardziej się staram, aby nie gadać rzeczy nieprzemyślanych, przypadkowych i nie operować słynnymi „skrótaami myślowymi”, które są naprawdę przejawem ignorancji. Ostatnio, kiedy ponownie zwrócił się do mnie portal Tok.fm, abym skomentował powody burzy, jaką wywołał wywiad z Panią Małgorzatą Terlikowską, na moje obiekcje, czy ponownie chcę się wystawiać na upokorzenia masowych komentarzy, prowadząca wywiad uspokoiła mnie, że przywyknę, podobnie jak ona nie przejmuję się już, iż jeśli tylko zdarzy jej się napisać „e” lub „a” zamiast „ą” i „ę”, natychmiast są wpisy, że stało się tak dlatego, że jej ojczystym językiem jest jidysz... Staram się więc nie uchylać od zabierania głosu, pamiętając wszakże, że moim właściwym ogródkiem jest nauka, mój dorobek w tej dziedzinie, a nie odgrywanie roli chłopca (no powiedzmy dojrzałego już pana) do bicia. Jestem wierny w tym względzie parafrazie maksymy Wolfganga Haasa, że „Przesadne rozmyślanie jest zawsze złe, ponieważ uświadamia człowiekowi, że kiedyś był młody, a teraz jest stary, a wówczas to już lepiej się zastrzelić”. W każdym razie, póki co, Internet nas nie wyzwoli, wierzę w potencjał argumentacji na co dzień, usilnie ponawianych prób, że najpierw warto wiedzieć, a dopiero potem oceniać. W tym sensie jestem nieodrodnym synem Jerzego Kmity, który nigdy nie wątpił, że założenie o racjonalności podmiotu ma sens.

M. R.: *Panie Profesorze, bardzo dziękuję za poświęcenie mi swojego czasu, ogromnie to doceniam. Mam nadzieję, że kultura upokarzania będzie – jak Pan to określił – „rozpisywana” na różne aspekty, myślę, że jest tego warta.*

W. J. B.: *Co więcej, dzięki rozmowie z Panem zamierzam się bliżej zająć tą kwestią i poddać ją antropologicznemu oglądowi. Mam już nawet pomysł, jak to zrobić empirycznie! Dziękuję więc także za tę inspirację.*

